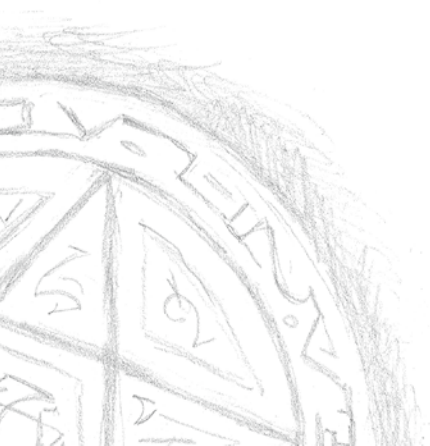


MIROSLAV ŽAMBOCH
• SIERŻANT •



Fabryka Słów



· SIERŻANT ·



fabryka słów
WWW.FABRYKA.PL



MIROSLAV ŽAMBOCH
· SIERŻANT ·

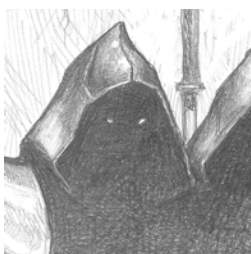
PRZEŁOŻYŁ Z JĘZYKA CZESKIEGO
JAN STACHOWSKI

ILUSTROWAŁ
DOMINIK BRONIEK

fabryka słów

LUBLIN 2010

Istota ludzka, która za sprawą swej złożoności pozostaje poniżej progu Chandrekosa, jest stabilna. Co oznacza, że do jej zniszczenia potrzeba takiej samej ilości energii w dowolnej magicznej formie, jak na przykład do zniszczenia zbliżonej masy granitu. Produkty, przedmioty i rzeczy powyżej progu Chandrekosa są niestabilne. Każdy byle czarownik łatwo określi właściwe miejsce, punkt struktury, za pomocą którego i dzięki jednej jedynej myśli oraz śladowej ilości siły może spowodować totalną destrukcję, eksplozję o mocy kilkuset tysięcy ton dynamitu. U przedmiotów z kombinacją technicznej złożoności i magii próg Chandrekosa jest ekstremalnie niski, zatem destrukcje są częste i samoistne. Oczywiście zdarzają się wyjątki potwierdzające regułę, lecz jest ich raptem kilka. Przykładowo, wszelkiego rodzaju tarcze szlifierskie, wiertarki, piły są napędzane przez prymitywne, koncentrujące energię zakłęcia, wbudowane w drobne kryształki aktywnego morionu. Spróbujcie jednak identycznego lub podobnego zakłęcia użyć do napędu wiatraka czy kuźniczego młota, a wcześniej czy później wszystko samoistnie wyleci wam w powietrze. Mój ojciec myślał o tym często i opracował własną objaśniającą teorię.



Splunąłem, ale i tak nie pozbyłem się nieprzyjemnego smaku ziemi, a z języka ostrych ziarenek miękkiego piasku. Pewnie właśnie coś takiego czują wszyscy żołnierze skuleni w okopach. Nasunąwszy hełm na czoło, wyjrzałem z transzei*. Łąka z wysoką trawą, gdzieś tam ciemniejsze kępy wierzb i olch, kawałek dalej linia gęstego mieszanego lasu. Przez środek płytkiej dolinki płynął strumień. W rzadkiej mgłę wszystko wyglądało nierealnie i Bóg wie czemu niebezpiecznie. Zsunąłem się z powrotem. Dlaczego tutaj, w niezamieszkałej ziemi niczyjej, ktoś wydrążył okopy? Musiało to być bardzo dawno, ponieważ szalunek z grubych dębowych bali zaczynał się rozpadać, a wejścia do podziemnych

* transzeja – *wojsk.* rów ciągły ułatwiający skryte manewry; łączy w jednolity system różne urządzenia obronne

schronów były zasypane. Pięćdziesiąt lat? Siedemdziesiąt? Może i więcej.

– Kantujesz! Połamię ci za to wszystkie paluchy!

Kampani zawsze się pieklił po przegranej partii pokera, ale tym razem także pozostali spoglądali wrogo na zwycięskiego Gasupuréza. Widać chodziło o więcej złota niż zwykle. Jednak oprócz kumpla olbrzyma, nikt nie odważył się obwinić go bez konkretnego dowodu. O Gasupuręcie było wiadomo, że został wcielony do batalionu z powodu zabójstwa kobiety i dwóch mężczyzn. Zabił ich gołymi rękami. Kobieta była jego żoną i dorabiała sobie w burdelu. A mężczyźni, jej klienci, po prostu mieli pecha. Bywa i tak.

– Pieprzenie! Popatrzcie no! Dałem to właśnie Kampaniemu, żebyście mi tu nie podskakiwali! – zaproponował względnie spokojnie Gasupuréz.

Pięciu facetów pochyliło się nad przewróconą mezażką, służącą im za karciany stół, i wlepiło wzrok w obrębianą srebrem płytkę z łupanej miki. Chcąc widzieć dokładniej, przysunąłem się do nich. Na dnie rowu były woda i błoto, a w butach, których wodoszczelność handlarz wychwalał pod niebiosa, miałem mokro. Do diabła z nim. Mikowa płytkę właśnie odtwarzała przebieg całego rozdania. Obraz był wprawdzie czarno-biały i mocno pomniejszony, lecz można było wyraźnie zobaczyć, co robił każdy z graczy. Zmusiłem ich, żeby zrzucili się na tę przeglądarkę, bo wysłuchiwanie ich wiecznych kłótni już mnie męczyło. Nie była tania, ale musieli ją kupić. W przeciwnym razie zakazałbym im pokera podczas akcji.

– Sierzancie! Chcę panu coś pokazać!

Każdy sierżant w jednostce ma obserwatora. Ten mój, Hruzzi, był niezadowolony i mrukliwy, zresztą jak zawsze. Jego zasępiona twarz poprawiła mi nastrój. Ruszyłem za nim, starając się brnąć przez błoto dokładnie po jego śladach. Chyba wyglądałem śmiesznie.

– O w mordę, nie kantował! – powiedział ktoś za mną.

– Tutaj! – Hruzzi pokazał ścianę w miejscu, gdzie odpadło oszalowanie. Z przetkanej korzeniami traw ziemi wystawał kawałek czaszki.

Spojrzałem pytająco, lecz sądząc po jego minie, na razie nie zamierzał powiedzieć nic więcej. Obserwatorzy to szczególne typki. Ich zdolności są niezwykle różnorodne, w magicznym i klasycznym rozumieniu nieprzewidywalne. Kiedy ostrożnie zacząłem wygrzebywać kość, odniosłem wrażenie, że wibruje.

– To bardzo silne, ale nie wiem, co znaczy. – Skinął głową Hruzzi.

Pod kością odkryłem jeszcze kawałek metalu. Wydostawszy go wreszcie, rozpoznałem połówkę stalowego hełmu, druga już dawno przerdzewiała.

– Jak długo to tu leży?

Hruzzi wzruszył ramionami.

– Ten typ usunięto z ekwipunku przed ponad dwoma wiekami.

– Obrońcy czy napastnicy?

– Obrońcy – odparł.

Transzeja została zrobiona na wypadek ataku z lasu pod nami. Z drugiej strony wznosił się niewielki,

ale stromy pagórek Clodik z jakby uciętym szczytem. Natura czasem potrafi stworzyć dziwaczne kształty. Według mapy, która jednak nie należała do szczególnie dokładnych, właśnie stąd był najbardziej dostępny.

– Gotowość bojowa dla wszystkich! – syknąłem, żeby nie być słyszany z zbyt daleko. – Przygotować się do obrony!

Może przejmowanie się martwymi od niemal dwóch wieków żołnierzami było głupotą, ale już dawno się nauczyłem, że intuicja to w naszym fachu rzecz ważna.

– Ale dziś odpierałbym atak z przeciwnego kierunku – szepnął Hruzzi.

Nie protestowałem. Jeśli się raz zaufało obserwatorowi, rozśadek nakazywał, by słuchać go we wszystkim. Kompromisy przynosiły pecha. Problem polegał jednak na tym, że w lasku, który niepokoił Hruzziego, operował trzeci pluton pod dowództwem sierżanta Allego. Nie wolno nam go było pomylić z ewentualnym wrogiem.

W ciągu minuty byliśmy gotowi do odparcia ataku. Nasz jedyny moździerz wycelowałem w najbliższą krawędź lasu. Pofałdowany teren sprawiał, że przed pierwszymi drzewami znajdował się obszar niewidoczny dla naszych oczu. Kaem kontrolował długą łąkę z prawej. Ciągnęła się pod górę, ale mogliśmy ją łatwo pokryć ogniem, ponieważ nie miała nierówności. W moim lewym uchu zabrzączał kolczyk, co oznaczało, że porucznik Dekont chce ze mną rozmawiać osobiście. On lub jego obserwatorzy. Jako oficer miał prawo do trzech, do tego lekarz oraz wojskowy czarownik pierwszej katego-

rii. Przeciskając się przez okopy, wreszcie do niego dotarłem.

– Co pan o tym myśli? – wskazał na ukos w lewo.

Podmuch powietrza odebrał mi mowę i rzucił na dno. Dolna połowa ciała porucznika jeszcze przez chwilę stała w miejscu. Kolejna eksplozja wyrzyła lej tuż za transeją, trzecia trafiła prosto w okopy. Byli znakomicie wstrzeleni.

– Nie wystawiać głów, to działa! – krzyknąłem, usiłując wypluć ziemię z ust.

Z lasu powyżej dobiegły przytłumione przez odległość strzały. To musiał być Alli.

– Moździerz naprzemiennie ognia! Ostrzeliwać teren za pagórkami aż do lasu!

Kampani spojrzał na mnie zdziwiony, bo w zasięgu wzroku nie było żadnego wroga, niemniej zaczął łądować pierwszy pocisk. Naprzemiennie oznaczało najpierw rozpryskowy, a potem pokryty fosforyzującymi diagramami i wypełniony cholera wie czym. Dup! Walnęło tuż obok, koło uszu zaświstał mi rój odłamków, z których trafiło mnie co najmniej dziesięć.

– Ostrożnie z tym kaemem! Dopiero jak będziecie pewni, że to nie nasi! – usłyszałem w komunikatorze rozkazy Glena, trzeciego sierżanta plutonu. Nakazałem swoim ludziom, żeby pilnowali lewego skraju pagórka. W samą porę, bo w polu widzenia pojawiły się pochyłone sylwetki, wypędzone przez ogień moździerza.

– Każdy jednego, po kolei! Teraz! – Wydawszy komendę, załadowałem granatnik klasyczną amunicją i oparłem kolbę o ramię. Pierwsza trójka oberwała od

razu, pocisk musiał im rozszarpać tarcze. Pozostali przypadli do ziemi.

Stałem, żeby lepiej widzieć. Wóz albo przewóz. Skoro ryszstunek porucznika nie wytrzymał trafienia z działa, mój nie miał żadnych szans. Nastawiwszy celownik, kątem oka dostrzegłem następne figurki wybiegające z lasu. Granat poleciał. Ujrzałem go w najwyższym punkcie trajektorii, gdy zaczął już opadać. Eksplozja, gejzer piachu. Załadowałem znowu, ale zanim zdążyłem nacisnąć spust, broń wypadła mi z ręki, a niebo i ziemia mignęły niczym rozmazana smuga. Znalazłem się na dnie okopu. Bezpośrednie trafienie w hełm na chwilę mnie sparaliżowało.

– Lancelot! Tu Alli! – Na dźwięk własnego nazwiska w komunikatorze doszedłem do siebie. – Przesuniemy się transeją na zachód poza zasięg tego snajpera!

Potwierdziłem odbiór, dodając, że my tu jeszcze zostaniemy przez jakąś chwilę. Chciałem się dowiedzieć, kim są napastnicy. Alex, nasz tropiciel, już mi się przyglądał, czekając na rozkaz. Znał mnie. Skinąłem głową. Zapadła cisza, tylko w powietrzu unosił się śwąd kordytu*, a włoski na karku były zjeżone, jak zawsze po użyciu magicznej amunicji.

– Hruzzi, pilnuj go! – nakazałem, obserwując wraz z pozostałymi okolicę.

Alex zniknął w trawie. Hruzzi z głową w dłoniach siedział na dnie rowu wprost w kałuży. Miał wyśmienitą intuicję, ale do hipnozy nie był zbyt dobry.

* kordyt – proch bezdymny z lotnym rozpuszczalnikiem

– Wszyscy nie żyją? – usłyszałem, jak powtórzył na głos, po czym pokiwał głową. – Nie zbliżaj się, obejdź ich wokoło.

Na twarzy wykwitł mu uśmiezek. Alex chyba poczęstował go pieprzną wiązanką, lecz w końcu posłuchał. Widziałem, jak zsunął się do leja po nieprecyzyjnym strzale nieznanego snajpera.

– Coś tu nie gra, nie podoba mi się to – wymamrotał Hruzzi. – Zostaw ich i wracaj. Psiakrew, wracaj! – wrzasnął.

Alexowi zapewne nie chciało się bezcelowo czołgać kilkuset metrów.

Nagły wybuch. Wzdrygnąłem się, jak i cała reszta, a Hruzzi osunął się z krzykiem: bycie z kimś w telepatycznym kontakcie w momencie jego śmierci to ciężki szok, nawet dla doświadczonego obserwatora.

W oczekiwaniu na kolejne niemiłe niespodzianki zostaliśmy w okopie aż do zmierzchu. W sumie było dwadzieścia siedem eksplozji. Albo miał to na sumieniu system autodestrukcyjny, którego zadaniem było uniemożliwienie nam identyfikacji przeciwnika, albo tak naprawdę spotkaliśmy nie ludzi, tylko zupełnie kogo innego, kto umierał wraz z wybuchami. Nie dowiedziawszy się niczego więcej, pozbieraliśmy sprzęt i ruszyliśmy na poszukiwanie reszty oddziału.

* * *

Do kompanii dołączyliśmy późną nocą, gdy obóz był już rozbity, a wojsko szykowało się do snu. Dowództwo

po poruczniku przejął Glen, który kazał podwoić strażę i w najbliższej okolicy rozmieścić pułapki. Być może był nazbyt ostrożny, ale akceptowałem to. Właśnie dzięki przesadnej ostrożności i przezorności wciąż byliśmy wśród żywych. Nim zdążyłem zjeść kolację, czyli papkę powstałą po wymieszaniu sproszkowanej wołowiny z wodą ze strumienia, musiałem się stawić u dowódcy. Miskę zabrałem ze sobą, bo żołnierskie doświadczenie mówi, że nigdy nie wiadomo, kiedy znów będzie czas na jedzenie.

Namiot dowódcy tworzyła plandeka rozciągnięta między trzema drzewami, zamiast krzeseł ktoś przygotował wiązki świerczyny, na których można było usiąść bez obawy o zamoczenie spodni. Sierżanci Glen i Alli, czarownik Fill oraz wszyscy obserwatorzy czekali już tylko na mnie. Przykucnąłem na piętach. Mdła karbidówka cicho syczała, rzucając migotliwy cień na płócienny dach.

– Dwóch zabitych, siedemnastu rannych, z tego trzech ciężko. Jeden niezdolny do walki. Patrole nie trafiły choćby na ślad napastników. Najprawdopodobniej strzelali do nas z ręcznie transportowanego działa. Chcę poznać wasze spostrzeżenia i opinie.

Glen nigdy nie był gadułą, ale tym razem pobił samego siebie. Milczeliśmy.

Pojęcia nie miałem, co myśleć o całej sytuacji. Trzy tygodnie temu nasz batalion dostał zaskakujący rozkaz dyslokacji w Joudzou na północno-wschodnim pograniczu. Specjalnie przejrzałem służbowe raporty, według których Joudzou należało do najbardziej spokojnych

regionów, gdzie w ciągu ostatnich lat nie przydarzyło się nic godnego uwagi. Ale rozkazy nigdy nie podlegają dyskusji i dlatego siedmiuset żołnierzy sił szybkiego reagowania, przeznaczonych do walki z wrogiem zewnętrznym, natychmiast się przemieściło tutaj, do opustoszałej krainy lasów, łąk i bagien. Jedynym odrobinę cywilizowanym miejscem w całej okolicy było pięcioletnie Joudzou. Cywilizowanym to chyba nawet za dużo powiedziane, ponieważ nawet kolej tu nie prowadziła. Podmokły grunt po prostu nie uniósłby szyn. Już dwa tygodnie patrolowaliśmy pogranicze, nie znajdując śladów ewentualnych intruzów. Aż do dzisiaj.

– Okopy w dolinie stanowiły kiedyś fragment linii obronnej, która miała chronić wzgórze Clodik. Szacuję – Hruzzi zamilkł na chwilę – że liczą sobie sto pięćdziesiąt, może i dwieście lat.

– Napastnicy byli ludźmi, a przynajmniej tak mówią ślady – rzekł Alli. – Używali zwykłych wojskowych butów wzór 62. Znaleźliśmy miejsce, skąd nas ostrzeliwali. Wszystko wskazuje na to, że chodziło o ręcznie przenoszone działo.

– Co bardziej wskazuje na wroga wewnętrznego – zauważył Fill.

Służył w jednostce jeszcze dłużej niż ja i mimo że współpracowaliśmy tylko z rzadka, uważałem go niemal za przyjaciela. Jak wszyscy pozostali, tak i ja w stu procentach polegałem na jego zdaniu oraz biegłości w posługiwaniu się magią.

Glen czekał. Sądziłem, że Hruzzi podzieli się też swymi spostrzeżeniami o szczątkach żołnierzy pogrze-

banych w okolicznej ziemi, on jednak milczał, widać nie uznając tego za ważne.

Wrogowie wewnętrzni było zbiorowym określeniem dla szpiegów i regularnych sił zbrojnych czterech pobliskich państw, do których można się było dostać z pominięciem ziemi niczyjej. Nasze królestwo graniczyło bezpośrednio z dwoma z nich. Z kolei wrogowie zewnętrzni pochodzili z ziemi niczyjej, zwanej inaczej dzikimi kresami. Tam było możliwe dosłownie wszystko. Na dzikich kresach obowiązywały inne prawa natury. Zamieszkiwali je Nieludzie lub jeszcze coś bardziej niepojętego, tak że nawet wszechmocny wywiad, w tym najlepsi magowie Akademii, miał o tamtejszej sytuacji małą wiedzę, którą w większości dało się określić jako niezbyt wiarygodne opowieści i zmyślenia. Jedni nazywali ziemię niczyją obszarem rządów chaosu, drudzy terenem o podwyższonej entropii, a jeszcze inni miejscem przenikania się światów, sfer i cholera wie, czego jeszcze. Zależało od tego, kogo się słuchało: naukowca, czarownika, polityka czy obserwatora. Moim zdaniem, wszystko oznaczało jedno i to samo – prędką i bardzo nieprzyjemną śmierć dla każdego normalnego człowieka.

– Przeczyszemy całą okolicę Clodiku. Powoli, ostrożnie i starannie. Jeżeli kryją się tam jeszcze jacyś intruzi, znajdziemy ich i zlikwidujemy. O ile to ludzie, chcę żywego faceta. Dwóch żywych facetów – poprawił się szybko Glen, spoglądając na mnie.

To spojrzenie znaczyło, że właśnie dostałem zadanie na jutro. Dotychczas uważałem Glena za dobrego,

lecz poza tym całkiem zwykłego sierżanta, jednak teraz zmieniłem zdanie. Był sprytny, może i sprytniejszy od porucznika. Dekont z każdego schwytanego języka starał się wyciągnąć jak najwięcej informacji, ale nie mógł przekroczyć pewnej granicy, bo później musiał przekazać jeńca specjalistom od przesłuchań. A już kilka razy przydało się nam, że wiedzieliśmy więcej niż to, co byli skłonni powiedzieć nasi przełożeni. Gdybyśmy pojмали dwóch, jednego moglibyśmy przesłuchać jak należy, a potem gdzieś go zakopać. Nie byłoby z tym problemu; do siedemnastego batalionu ludzie trafiali przeważnie dlatego, że mieli w życiorysie jakąś krechę. Ci z największą byli w kompanii zwiadowczej, czyli u nas.

Ponieważ nikt nie miał dalszych uwag, Glen nas zwolnił i poszliśmy spać.

Rano kazałem się zbudzić wcześniej, żeby postudiuować mapę. Granica z ziemią niczyją przebiegała właśnie przez Clodik. Co więcej, zdawało mi się, że mapa nie do końca odpowiada rzeczywistości, co było niezwykle, ponieważ do dokładności wojskowych map przeważnie przywiązywano dużą wagę. Na myśl, że miałbym się wybrać za linię graniczną, poczułem się nieswojo. W jednostce służyłem ponad osiem lat, ale „tam” nie byłem jeszcze nigdy. Po chwili zastanowienia poszedłem do Filla.

Nie spał już, z naburmuszoną miną grzebał w jakichś papierach.

– Możesz spokojnie przekroczyć granicę, z największym prawdopodobieństwem nic ci się nie stanie – powiedział, nim zdążyłem o cokolwiek zapytać.

Przepadam, kiedy jestem dla kogoś przezroczysty niczym szkło. Najwyraźniej dostrzegł moje rozdrażnienie i chcąc mnie udobruchać, dorzucił jeszcze jedną informację:

– Wszystko wskazuje na to, że właśnie obecność ludzi osłabia siłę chaosu. Kiedy tam pójdziecie, wytworzycie wokół siebie normalny świat, zupełnie jakbyście nieśli ze sobą kawałek królestwa. Ponadto transpozycja odbywa się pomału, no i tutaj wciąż jesteśmy względnie blisko obszaru zamieszkanego przez ludzi.

– A im mniej ludzi, tym gorzej to działa, co? – domyśliłem się.

Przytaknął, rozbawiony.

Nie bałem się, że moi żołnierze mogliby się zmienić na przykład w żaby, w końcu tak naiwny to nie byłem. Nie chciałem jednak, żeby dopadła ich jakaś paranoja, która by sprawiła, że się nawzajem powystrzelają. Coś takiego już się przytrafiło parę razy. Skinąłem Fillowi ręką i wróciłem do swojego śpiwora, żeby się spakować i przygotować do ogólnej pobudki. Sierżant zawsze musi być krok przed swoimi ludźmi, co niekiedy daje niezłe w kość.

* * *

Z oczyma wokół głowy, szliśmy przez las tyralierą. Dwunastu chłopów znakomicie znających swój fach, którzy nie potrzebują się do siebie odzywać, bo każdy wie, co akurat ma robić i gdzie być. Las wyglądał zwyczajnie – brzozy, sosny i modrzewie, ale Hruzzi wciąż był

spięty, a jego nerwowość udzielała się reszcie, nie wyłączając mnie. Zwarta warstwa chmur nie przepuszczała choćby odrobiny słonecznego światła, tak że pod kopułą koron drzew panował półmrok. W powietrzu unosiła się wilgoć, wysoka, mokra trawa cięła po rękach. Wkrótce wszyscy byliśmy przemoczeni od stóp do głów. Nagle Gasupuréz syknął i stanąwszy, zaczął się przyglądać czemuś pod nogami. Odkryliśmy resztki brukowanej drogi. Las musiał tu sobie liczyć ładnych kilkaset lat. Z zachowaniem pełnej ostrożności spenetrowaliśmy najbliższą okolicę, przekonując się, że liczne nierówności terenu dawno temu były murowanymi budynkami. Oficjalnie negowana i tępiona opinia, że królestwo stale się zmniejsza, widać była prawdziwa.

W ciszy zmokłego lasu zabrzmiał suchy kaszel. Natychmiast padliśmy w trawę, by po niezbędnej pauzie zacząć się czołgać. Sprawca dźwięku stał w cieniu rozłożystego buku, zlewając się z szarą korą drzewa dzięki maskującemu strojowi. Odłożyłem automat oraz miecze, zostawiwszy sobie tylko nóż. Zachowując bezpieczną odległość, obszedłem wartownika, który w wysokiej trawie często znikał mi z pola widzenia. Obawiałem się, by nie stracić orientacji. W końcu jednak zaszedłem go od tyłu i, wstrzymując oddech, lewą ręką złapałem go za twarz, wykręciłem głowę i przyłożyłem klingę noża do gardła.

– Nie ruszaj się – szepnąłem mu do ucha.

Wskutek kontaktu z jego kinetyczną tarczą poczułem na skórze lekkie mrowienie.

Przesunął ciężar ciała na jedną nogę.

– Nie ru... – chciałem go ostrzec jeszcze raz, zastopowałem mnie jednak mocny cios łokciem w spłot słoneczny.

Zdołał się jeszcze odwrócić, ale zaraz padł, a z tętnicy szyjnej bluznęła mu krew. Zmełłem w ustach przekleństwo. Ponieważ teraz wszyscy moi ludzie mnie widzieli, gestem dałem znać, żeby zmienili kierunek marszu o dziewięćdziesiąt stopni w prawo. Mężczyzna stał przodem do nas, uznałem więc, że pilnował terenu za sobą. Zamierzałem ruszyć wzdłuż linii wartowników i jeszcze raz spróbować szczęścia.

– Słyszę ofiarne formułki! – usłyszałem Hruzziego w bezpośrednim telepatycznym kontakcie. – To gdzieś blisko!

Tym razem naprawdę zakląłem, choć tylko półgłosem. Ofiarowanie człowieka jest najgorszą, najohydniejszą zbrodnią, która degraduje życie wszystkich pozostałych, osłabia całe królestwo i pomaga chaosowi zmieniać świat ludzi.

– Psiakrew, gdzie?

– Gdzieś przed nami, sierzancie – odparł Hruzzi, deklamując w transie kolejne okrutne słowa, których już samo brzmienie napawało mnie lękiem.

– Moja broń! – syknąłem.

Błyskawicznie dopadłem mieczy, wsunąłem je do pochew i już na nic nie czekając, pogałem naprzód z automatem w jednej i zakrwawionym nożem w drugiej ręce. Czy reszta ruszyła za mną, nie wiedziałem. Opętała mnie jedna jedyna myśl – powstrzymać tę potworność. Nagle zza krzaka wychynął barczysty facet